№ 19. 8. Maja 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Jan Kasprowicz.

Z gawęd i opowiadań.

Maciej Kosarczyk.

Są-ci mędrcowie, co wchłonęli w siebie
Mądrość, zawartą w wszystkich księgach świata,
Co gwiazdy zliczyć umieją na niebie
I krople w morzu i one atomy,
Wypełniające wszechbytu ogromy,
Z taką łatwością, jakbyś trzasnął z bata,
Co widzą tam, gdzie innych wzrok jest niewidomy.

* * *

Oni to właśnie, ci wielcy mędrcowie,
Przez swoje szkiełka dostrzegli uczone,
Że człek siermiężny — zwykle cham się zowie —
Żadnej w swem ciele nie posiada duszy.
Bo cóż — pytają — tę bryłę poruszy?
Je to i pije, ciągnie pług lub bronę
Wraz z koniem, a na resztę zamknięte ma uszy

* * *

Trudno nie wierzyć; mózg nasz, nie tak ostry,
Placu tym mędrcom pewno nie dotrzyma;
Więc broń swą złóżmy... Lecz bracia i siostry,
Chociaż ich prawdę przyjmiecie w pokorze,
Tem, co wam w prostych dziś słowach przedłożę,
A co własnemi widziałem oczyma
Przed czasem niezbyt dawnym, nie wzgardzicie może.

* * *

Kiedyś, o zmierzchu, gdym był sam w izdebce,
Słuchając szumu srebrzystych topoli —
Więzi mnie język, którym drzewo szepce
I którym trawy przemawiają drżące —
Jakichś mnie rojeń objęły tysiące,
A wśród nich jeden rwał się mimowoli
Wykrzyknik: ileż serca drży w najmniejszej płonce!

* * *

Ileż to duszy jest w tem liściu z drzewa,
Co, do gałęzi przyrosły, z szelestem
Innych listeczków swoje szumy zlewa
W przeszywającą, tajemną harmonię!
Ileż jest duszy w tem zielu, co błonie
Upstrzyło kwiecia mnogością i „jestem“
Przez swoje woła barwy i przez swoje wonie!..

* * *

Ileż miłości jest w tym psie, co oto
Widzę, jak właśnie szczenięta przenosi
Na podściełisko ze słomy — przez błoto
I przez kamienie, leżące śród drogi...
Lecz o tem wszystkiem mędrców zastęp mnogi
Wie i tę prawdę emfatycznie głosi —
Ty tylko nie masz czucia, człowiecze ubogi!...

* * *

Naraz znajomy głos mnie z snów obudzi —
Chłopak sąsiada chwycił mnie za ramię,
Wołając w strachu: „Niech się pan potrudzi,
Stary Kosarczyk kona już od rana,
Tak się pasuje z śmiercią, że kolana
I ręce sobie niemal połamie;
Pan, mówią, to zażegna, przybiegłem po pana“.

* * *

Miałem u chłopów zawsze nieco wiary,
Choć zwykle dla nich każdy surdutowiec
Jest jak ów potwór, na którego czary
Nie podziałają: w ciało kłem się wżera,
Ssie krew czerwoną, ze skóry obdziera,
Na zatracenia prowadzi manowiec
I strąca tam, gdzie piekło swe bramy rozwiera.

* * *

Jam był szczęśliwszy, dlaczego, do rzeczy
To nie należy... Dość że chłop w swej biedzie,
Która go nakształt siedmiorakich mieczy
Nie poprzestaje kłuć z każdego boku,
Tę moją nicość zawsze miał na oku:
„Poradźcie — mawiał — kochany sąsiedzie,
Człek kłopot i strapienie spotyka co kroku“.

* * *

Tak też i wówczas, gdy się żegnał z światem
Maciej Kosarczyk... Mruk to był nad mruki,
Własnego brata nie nazywał bratem:
Zawsze surowy, jak pień w korze grubej,
I, jakby zawarł kamedulskie śluby,
Zawsze milczący; trzeba było sztuki,
By słówko zeń wyciągnąć: bał się go, jak zguby,

* * *

Nigdy na siebie, bywa, nie uważa:
Żebrak, co marny swój żywot opędza
Groszem, na który u wrótni cmentarza
W mróz i zawieję, w deszcz i upał czeka,
Więcej ma w sobie pozorów człowieka,
Niźli ich miała ta chodząca nędza,
Choć mogła się ogarnąć za zboże z sąsieka

* * *

Nieraz gdy wlókł się — ciap! ciap! do kościoła
W podartych butach, w sukmanie, powrosłem
W krzyż przepasanej, tłum dzieciaków woła,
Śmiejąc się z niego: „W ostatki jedyny
Byłby z was niedźwiedź! *) Są już grochowiny“ —
Szydzi z nich jeden, a drugi: „przyniosłem,
By można was prowadzić, spory kawał liny..“

* * *

Ale groch rzucaj o ścianę, a większy
Zobaczysz skutek, niż na nim wywarły
Wszystkie szyderstwa. On już nie upiększy
Swojego ciała przed śmiercią. W swą ziemię
Jak kret się zarył lub jak ropuch plemię,
I już za życia był, jakby umarły;
Jaśniejszy znać promyczek żaden w nim nie drzemie:

* * *

Czy sąsiad chory, lub umiera krewny,
Czy drży kto z zimna, albo chleba niema,
Czy komu zasiew spłukał deszcz ulewny
Albo też grady łan wytłukły pszenny,
Stary Kosarczyk zawsze był niezmienny:
Na łzy, na skargi, rękami obiema
Około uszu machnął i szedł w trud codzienny.

* * *

Żona, jak owa bylica, gdy wiosną
Upadną deszcze, cała zlana łzami,
Dzieci, jak w rosie dziewanny, co rosną
Na sypkich piaskach, daremnie go proszą:
„Ludzie twe imię na językach noszą,
Żeś nie jak człowiek tylko zwierz: nad nami
Miej litość, razem z twoim wszak i nasz wstyd głoszą.

* * *

Mamy garść siana, słomy cały stożec
Prawie że zgnił już za oną stodołą;
Owsa nie braknie, a i żyta korzec
Znajdzie się jeszcze; weź, sprzedaj i nowe
Spraw sukmanisko, zaczesz włosy płowe
I lice umyj, zlane niby smołą,
I żyj, jak ci, co mają mózg i serce zdrowe...“

* * *

Nic nie pomogło: na prośby i rady
Pomruknął czasem lub się głupkowato
Zaśmiał i poszedł, jak ten jego gniady,
Z łbem opuszczonym na pole.. Żelazem
Nie zmieniłbyś go czerwonem... Był głazem,
Który oblepił czarny brud, i na to
Świat cały nie miał środka z Panem Bogiem razem.

(Dokończenie nastąpi.)

SZKOŁY NA SZLĄSKU.

napisał

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

—

(Dokończenie.)

W ten sposób nie tylko nie mogą należycie poznać i wystudjować języka polskiego, ale po prostu nie są w stanie wykładać w nim, bo nauczyli się myśleć po niemiecku, bo brak im słów technicznych najprostszych, bo płynnie i z łatwością mogą się wyrażać jedynie w obcej mowie, gdy ojczysta istotną trudność im sprawia. Czem się różni ten system w konstytucyjnem państwie od systemu rosyjskiego? Niczem, chyba pozorami, którymi nikt się zadowolić nie może.

Sprawę założenia polskiego seminarjum poruszali Szlązacy w Radzie państwa przez usta ks. Swieżego, oczywista, zupełnie bezskutecznie. Systemowi temu zawdzięczamy, że na Szlązku brak poprostu sił nauczycielskich, a te, które są, są całkiem nieodpowiednie. Tą drogą Niemcy, na ogół biorąc, nie osiągają celów germanizatorskich, bo dzieci trudnościami zniechęcone po dwóch klasach opuszczają po znacznej części szkołę i nie kończą jej.

Ale za to demoralizacja nauczycielstwa ludowego jest niezaprzeczonym owocem tej filantropijnej polityki.

Ludowi nauczyciele na Szlązku z małymi bardzo wyjątkami są czemś, co się nie da jasno określić. Polakami być przestali, Niemcami jeszcze nie zrobili się. W dość licznych stowarzyszeniach nauczycielskich używają dobrowolnie niemieckiego języka, do polskiego kółka pedagogicznego w Ustroniu należy ledwo dwudziestu kilku. Wielu staje się powolnem narzędziem germanizatorskiem. Superintendent morawsko-szlązki, Dr. Haase, poseł do Rady pań-

*) W ostatni dzień zapustów owijają parobków w snopek grochowin i oprowadzają po wsi jako „niedźwiedzi“.

stwa, wziął pod swoją szczególną opiekę nauczycielstwo ludowe na Szlązku i długo uchodził za prawdziwie bezinteresownego orędownika. Ktokolwiek z nauczycieli pragnął w Sejmie czy Wydziale krajowym albo Radzie szkolnej osiągnąć cokolwiekbądź, udawał się jak w dym do łaskawego zawsze Dr. Haasego, który, zwłaszcza w kwestjach pieniężnych, niejedną przysługę oddał tym oczywista, którzy byli u niego dobrze zapisani. A że dr. Hasae jest nieprzejednanym polakożercą i germanizatorem, więc rozumiemy, jacy mogli liczyć na jego protekcję i poparcie.

I byłby dr. Haase uchodził dalej za patrona ludowego nauczycielstwa na Szlązku, gdyby nie to, że losy wystawiły go na próbę, z której nie wyszedł zwycięsko. Dla zrozumienia sprawy muszę dodać kilka słów objaśnienia. Obok szkół publicznych istnieją na Szlązku i szkoły prywatne; jeżeli na pierwsze miał dr. Haase wpływ wielki, to na drugie nieograniczony. Nauczycieli szkół publicznych opłacały gminy, wskutek czego płace ich były małe i nie całkiem pewne. Toteż nauczyciele słusznie domagali się, aby nie gminy ale kraj wypłacał im gaże, podniósłszy je odpowiednio. Kiedy sprawa przyszła pod obrady sejmu, sprzeciwiał się jej dr. Haase z obawy, że po uchwaleniu tego wniosku i nauczyciele szkół prywatnych zażądają podniesienia pensji albo wprost przeniosą się na posady publiczne, a wówczas wpływ dr. Haasego zostałby ograniczony. Mimo to wniosek przeszedł przy pomocy posłów narodowych, którzy w ten sposób zyskali sobie choć w części zaufanie nauczycieli ludowych za poprawienie i ustalenie ich losu. Zato kredyt dra. Haasego został nieco podkopany, oby skutecznie i stale.

Tak oto przedstawia się za kulisami szkolnictwo ludowe na Szlązku! Obowiązkiem naszym jest poprzeć Szlązk w dążeniu jego do osiągnięcia polskiej szkoły ludowej, a przedewszyskiem należy niezbędnie doprowadzić do otworzenia polskiego seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie. Sprawa to niezmiernie doniosła i pierwszorzędnej wagi. Krakowskie Tow. »Szkoły ludowej« powinno pomyśleć o tem.

Polacy szlązcy są upośledzeni jednak nie tylko na punkcie szkolnicwa ludowego; szkoły średnie także nie oświacie i dobrobytowi służą, a giermanizacji. Bo proszę sobie wyobrazić, że gimnazjum cieszyńskie jest niemieckie. Młodzież więc polska nie może się kształcić w duchu narodowym, a w innym kształcić się nie chce. Lecz jedna szkoda pociąga za sobą drugą. Kto ośm lat pobierał nauki w języku niemieckim, temu nadzwyczaj trudno przejść na polski uniwersytet.

To też większość młodzieży szląskiej, poświęcającej się w ogóle studjom uniwersyteckim, udaje się przeważnie do Wiednia i ginie dla narodu. Stąd wypływa dalsza szkoła — brak inteligencji polskiej. Włościanin szląski przywykł do tego, że lekarz, adwokat, notarjusz i t. d. musi być Niemcem. Polaków zaledwie jest kilku i ci wielkiem u ludu cieszą się powodzeniem. Obecnie powstał zbawienny zwrot ku lepszemu, kilku narodowo usposobionych Szlązaków zapisało się na wszechnicę krakowską, gdzie nikt im nie broni kształcić się w kierunku narodowym. Oprócz tego objaśniają oni młodszą brać gimnazjalną o stosunkach akademickich krakowskich i zachęcają do zaciągania się w szeregi studentów almae matris jagielonicae. Przez długi czas jednak ilość takich studentów z przyczyn, o których niżej, będzie mała. To też tymczasem Galicjanie powinni starać się o posady na Szląsku, gdzie potrafią skutecznie z Niemcami współzawodniczyć.

Niezawodnie wielu takich, którym trudno znaleść obfity i smaczny kawałek chleba w Galicji, cierpiącej na tak zwaną «nadprodukcję inteligencji», zyskałoby na Szląsku odpowiednie i dochodne posady. W Jabłonkowicach n. p. zajmuje posadę adwokata krajowego Galicjanin Dr. Kreisel i całkiem dobrze mu się powodzi. Zwłaszcza lekarze Polacy mogą liczyć na dobrą praktykę wśród ludności Szląskiej. Wracając do kwestji gimnazjalnej podnieść koniecznie należy, iż Czesi posiadają maticzne gimnazjum w Opawie, które rząd zapewne wkrótce na swój koszt przyjąć będzie musiał. Oczywista, że i Polacy nie w inny sposób zdołają zyskać gimnazjum, jak tylko przez założenie prywatnego, którego powodzenie potrzebę takiego zakładu dowodnie by wykazało. Jestto a raczej być powinno jednym z podstawowych postulatów naszej polityki narodowej. Ale obszerniej pomówimy o tem w innym rozdziale, traktującym o stowarzyszeniach.

Biorąc kwestję szkolną w obszernem tego słowa znaczeniu zgoła nie możemy pominąć kształcenia się duchowieństwa szląskiego tak protestanckiego jakoteż i katolickiego. Jestto kwestja tem donioślejsza, iż najzdolniejsi prawie młodzieńcy wyznania luterskiego poświęcają się stanowi pasterskiemu. Otóż księża katoliccy wychodzą z niemieckiego seminarjum duchownego w Ołomuńcu, a że w dodatku należą do dyecezji wrocławskiej, której głową jest obecnie ks. biskup Kopp, prusak pierwszej wody, więc alumni opuszczają zakład z polskoscią mocno zaszarganą albo zgoła przytłumioną. Konieczność życia i stała zależność od ks. Koppa, któremu sutanna wcale nie zabrania robić prusofilskiej polityki, dopełniają reszty.

Na dziwną tę anomalję zwracało uwagę dziennikarstwo polskie w Galicji, ale było to rzucaniem grochu o ścianę, bo ani w społeczeństwie ani w nowych reprezentacjach żadnego nie wywołało wrażenia. Do jakiego stopnia duchowieństwo polskie na Szlązku jest zdemoralizowane dowodzi fakt, że gdy podnie-

siono myśl przyłączenia księstwa cieszyńskiego do którego z biskupstw austrjackich np. do krakowskiego, Polacy na równi z Niemcami protestowali przeciwko temu w adresie do ks. biskupa Koppa. Jakim porządkiem część ludności austrjackiej może podlegać juryzdykcji dyecezji wrocławskiej, to już tajemnica konstytucji i ministerstwa austrjackiego.

To samo odnosi się do pastorów ewangielickich, którzy odbywają studja swoje we Wiedniu, gdzie istnieje jedyny fakultet teologiczny luterański w całej Austrji.

Ludzie ci, odebrawszy całe wykształcenie w szkołach niemieckich, częstokroć mimo najszczerszych rzetelnych chęci poprawnie polskim językiem władać nie mogą, o czem na bardzo wybitnym, typowym przekładzie osobiście przekonać się mogłem. Duchowieństwo luterańskie posiada wspólnego przełożonego z duchowieństwem morawskiem gdyż mieszkańcy obydwóch prowincji wybierają wspólnego superintendenta, którym obecnie jest osławiony na Szląsku polakożerca dr. Haase.

KNIAŹ HILARKO

napisała

Zofja Grynbergowa.

Chudzina, którego nazywano Hilarkiem, miał lat pięćdziesiąt, a wyglądał co najmniej na siedemdziesiąt, taki skulony był i zgrzybiały w tej swojej starej bundzie z kapiszonem. W twarzy jego pomarszczonej nie można było dopatrzeć oczu zapadłych, trudno też było poznać, czy miał włosy na głowie, bo Hilarko nie lubił zdejmować swej starej czapki z daszkiem połamanym. A jednak przed laty, Hilarko ładnym był dzieciakiem i miał twarzyczkę delikatną, sfalowane jasne włosy i oczy bystre niebieskie. Było to wtedy, kiedy matka jego po długiej wędrówce wśród świata, przywlokła się z nim do rodzinnej swej wioski, do Czortyniec, gdzie miała jeszcze zagon czarnej, świętej ziemi. W trzy dni po tym powrocie, zakończyła też ona wędrówkę swego żywota, przeniosła się na tamten świat, a Hilarko został przy krewnych, którzy zagonu macierzyńskiego używali. Zagon taki płacono w tych stronach po kilkaset reńskich, jeżeli się trafiło że był na sprzedaż. Jednak rzadko trafiała się taka sposobność w tych stronach, gdzie dosłownie brano znaczenie wyrazów: ta święta, czarna ziemia.

Święte były mieszkańcom Czortyniec te niwy, rozlegające się bezdrzewną, błotnistą i nieskończoną zda się równiną, po której przebiegały kilka razy dziennie pociągi kolei żelaznej, nie troszczące się o Czortynice tak samo, jak ich mieszkańcy nie troszczyli się o te pociągi, pędzące ku cywilizowanym światom. Równiny te przerżnięte były jeszcze rzeką, ukrytą w głębokim parowie. Rzeka ta, podpływała ku wiosce; z okien wagonu widziałeś, jak się zwężała coraz bardziej, stawała się niby bruzdą pomiędzy łanami pszenicy i żyta i gubiła się nakoniec. Lecz kiedyś zajechał do wioski, a zeszedłszy nad rzekę, stanął nad jej brzegami, ta bruzda rozszerzała się niepomiernie, a kiedyś spojrzał na dno jej przepaści, to wierzby, rosnące tam, zdawały się krzaczkami, a dziećmi kobiety piorące, lub biorące wodę z Bystrzycy. Rzeka ta płynęła z gór, lecz nazwa jej, wcale nieusprawiedliwioną była tutaj, gdyż płynęła równo, spokojnie, wśród brzegów wysokich na kilka sążni. Kładka wązka, bez poręczy, podparta palikiem na środku, łączyła oba brzegi i obie połowy Czortyniec, a rzeka, zabrawszy trochę brudów czortynieckich, toczyła się dalej ku Dniestrowi.

Po lewej i prawej stronie rzeki, tuż nad kładką na wolnej przestrzeni, stały naprzeciw siebie dwie karczmy. Dalej, szereg domków rozpoczynał się z jednej strony cmentarzem zwieszonym nad rzeczną przepaścią, cerkiewką i placem, na którym miano budować szkołę. Z drugiej strony Czortyniec rozpoczynały się domkiem prefekta czyli naczelnika szlacheckiej gminy i urzędem gminnym, czyli mieszkaniem pisarza tej szlacheckiej osady, która ciągnąc się wzdłuż obu brzegów Bystrzycy, liczyła 70 domków strzechą pokrytych. Pod strzechami tymi mieszkała szlachta polska obrządku grecko-katolickiego mówiąca po rusku i po polsku; chłopów nie było w Czortynicach. Wprawdzie ta szlachta pracowała i żyła po chłopsku i gardziła stanowczo chłopskim stanem, jednak od cywilizacyi przyjęła tylko bluzy cajgowe. nie piorące się nigdy i czapki z daszkami; stroje narodowe, szernerowane kapoty, czapki baranie, dawno już zarzucono w Czortynicach. Zresztą każdy szlachcic jak dawniej, tak i teraz, obraziłby się, gdyby go kto był nazwał Rusinem. Niejeden z nich, posyłając dziatki swe do diaka na naukę, żądał, by umiały czytać i pisać po polsku tylko. Na ołtarzach, w cerkwi fundowanych przez szlachtę czortyniecką, były podpisy łacińskie, wyrażające datę fundowania i nazwiska, przydomki i herby fundatorów. Byli tam wypisani Poraje, Słońscy, de Łabędź Czortyńscy, Siembida, Zielińscy, Hordyńscy, Hahułowicze, Matkowscy, Kosarzewicze, Jaworscy itd. Legitymacje szlacheckie na pergaminie wypisane czarnym lub czerwonym atramentem, miały podpisy polskich królów; przechowywano takowe jeszcze w skrzyniach malowanych.

Ciekawa to osada szlachecka te Czortynice; warto by je opisać dokładnie, zanim czas gwałtowną tutaj zmianę uczyni, zanim zbudują szkołę, a dzieci szlachty czortynieckiej dowiedzą się z ruskich czytanek szkolnych, że, kto umie mówić po rusku, kto z księdzem mszę w języku ruskim śpiewać potrafi, temu nie wstyd nazywać się Rusinem. Nie mamy jednak czasu zastanawiać się tym razem dłużej nad Czortynicami, albowiem stało się tutaj coś, co się nie często wydarza w tej cichej, błotnistej wioszczynie: Bystrzyca w dzień pogodny raptem wezbrała i zaczęła coraz wyżej podnosić swoje mętne wody.

Był to dzień małego praźnika w Czortynicach, lecz ksiądz proboszcz nie mógł nawet dostać się do cerkwi, żeby odprawić chwałę Bożą. Mieszkał on w sąsiedniej wiosce Krowince; Czortynice nie mogły utrzymać osobnego duszpasterza.

Szlachta czortyniecka męż zyźni, kobiety i dzieci zabrawszy nawet psy ze sobą, powychodzili z domów i stanąwszy po obu brzegach Bystrzycy śledzili z przerażeniem wzbierającą wodę, jak brzegi kilkusążniowe wypełniały się, mętną, bystro toczącą się falą. Już wierzby rosnące na dole pochowały się w wodzie, tylko ich czuby zielone sterczały i kręciły się porywane żółtymi mętnymi falami.

Najstarsi wiekiem i wszyscy prawie dygnitarze miejscowi, którzy mieli za co napić się wódki lub piwa w karczmie, nie stali, nie chodzili ponad brzegami, lecz zgromadzili się przed karczmami po obu stronach kładki, trzymającej się jeszcze nad wodą. Po lewym brzegu w małej karczmie Surki i przed nią zgromadziła się biedniejsza szlachta: Poraje Słońscy, Kosarzewicze, Jaworscy i inni. Przed większą karczmą siedzieli i gwarzyli de Łabędź Czortyńscy, Hordyńscy i Hahułowicze Matkowscy. Karczmę tę nazywali oni hotelem. U Surki był także Hilarko nazywany Uruskim, lecz nie pił tym razem wódki, siedział na kłodzie przed karczmą dumał i patrzył na wodę. Hilarko po matce nazywał się Uruskim i był ostatnim z linji rodu tego, który sporadycznie tylko pojawił się w Czortynicach i dogasał już w starym Hilarku, nie mającym nazwiska po ojcu.

Matka jego twierdziła, że Uruscy byli niegdyś wielkimi jakimiś kniaziami, twierdziła także, że po ojcu Hilarko miał pańską krew i szlachecką naturę. Rzeczywiście wyrósłszy, nie lubił on pracować ciężko, lubił też pić wódkę, jeżeli miał za co i częstować drugich. W ogóle szlachta czortyniecka dzieliła się na dwie części: jedna część lubiła pracować i oszczędzać, druga nie lubiła robić, nie składała też pieniędzy i nie miała dobytku; w tem tylko zgadzali się wszyscy, że do wódki wstrętu nie mieli.

To trudno! Nie mając żadnego zajęcia umysłowego, człowiek musi pić przynajmniej. Pili Czortyńscy, Jaworscy, Matkowscy, Słońscy, Hordyńscy, pił też Hilarko Uruski, a pił tembardziej, że potrzebował więcej zajęcia umysłowego niż inni, Hilarko miał nawet popęd do nauki. Wróciwszy z matką do Czortyniec już umiał czytać i pisać. Później używał go często do pomocy pisarz gminny, pan Dominik Czortyński i dawał mu za to stare buty, ze siebie, czasem jaką koszulę i bluzę przechodzoną, czasami nawet szóstaka na wódkę kapnął. Jeść mu dawali krewni, którzy na zagonie jego siali pszenicę; pomagał on im jeszcze w gospodarstwie, chodząc koło świń i koło bydła. Pastuchem nie był nigdy, w Czortynicach wszelkie bydlęta drób, konie, trzoda pasły się na gminnem pastwisku. Zresztą Hilarko szczęśliwym był prawie, miał tylko jedno niespełnione marzenie: pragnął mieć pięć reńskich i dostać się do Lwowa, gdzie ojciec jego mieszkał w domu o złoconych schodach. Matka przed samą śmiercią mówiła mu o tem, nakazała też sprzedać zagon i wrócić tam pomiędzy ludzi, kiedy dójdzie do lat swoich. Sama nie mogła już tego spełnić choć przybyła do Czortyniec w celu odebrania zagona. Tymczasem Hilarko po jej śmierci dowiedział się, że ten zagon nie był już własnością matki, a tembardziej Hilarkowym być nie mógł, bo Hilarko nie mógł mieć metryki ślubnej swoich rodziców.

Lecz Hilarko nie zapomniał o zleceniu matki, zaczynał on nawet składać szóstkami pieniądze na drogę do Lwowa, zawsze jednak wypadło wypić kieliszek przed podróżą, albo poczęstować podróżnego co mu opowiadał, jaką drogą do Lwowa dostać się można, i tak doszedł do lat swoich, a nie był jeszcze w tem mieście. Wprawdzie pisarz, pan Dominik Czortyński, który z powodu zaprzepaszczenia gruntu Hilarkowego, miewał ciche wyrzuty sumienia, pisał raz list w imieniu Hilarka do tego pana, chodzącego po złoconych schodach, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Było to piękne popołudnie wiosenne, niebo błękitniało ponad Czortynicami, nad polami błotnistymi, nad otchłanią rzeczną, w której się kłębiła żółta gęsta woda, muskając już spodem kładkę łączącą obie strony wioski. Szlachta czortyniecka przed hotelem Anczla zapijała zgryzotę, głosy coraz potężniejsze rozlegały się przed hotelem. Melancholja jakaś unosiła się nad tym obrazem.

Po nad wodą z sieciami na długich żerdziach, chodziła młodzież czortyniecka, popodwijawszy wysoko swoje ubranie. Ci młodzi ludzi w mętnej wodzie łowili ryby rozmaitego gatunku i wielkości.

— Pamiętacie panie prefekcie, jeszcze w siedmdziesiątym roku tak woda przybywała — ho ho! coś to będzie — mówił pan Hilary Jaworski, szlachcic o chudej a łagodnej orlej twarzy z pięknym wąsem w dół opuszczonym; mówiąc poszturkiwał szczudłem swojem, albowiem kulawym był pan Hilary.

— Ta co może być? Woda podejdzie, a potem spadnie — taj aus! — rzekł prędko pan „Konstant“ Biliński, który nie lubił nigdy przypuszczać niezwykłych rzeczy. Pan Konstant zresztą uważany był za mędrszego od samego pisarza i od prefekta nawet, albowiem wysłużył się w wojsku jako manipulujący „felfeber.“ Należał do tej części szlachty, która pracowała i oszczędzał bardzo, bo nawet nie upił się nigdy za swoje pieniądze. (C. d. n.)

Obrazki ze świata alpejskiego.

Kreślił
Dr. Jasiński.

(Ciąg dalszy.)

Thörl.

Miejscowość ta leży przy drodze, prowadzącej z Kapfenbergu do A f l e n z, a dostajemy się do nije

pocztą.*) Ujechawszy parę kilometrów wjeżdżamy w dolinę zalesioną jak najstaranniej. Po dalszej jeździe półgodzinnej przybywamy do wioski Ejnöd. Tam zwęża się dolina, a zarazem staje się coraz romantyczniejszą. Droga prowadzi ponad rzeką, mającą swe źródła w górach, należących do systemu Hochschwab. Pędzi ona w szybkim biegu, jak gdyby chciała połączyć się jak najprędzej z swą siostrą Mürz. Siłę spadu tej rzeki wyzyskują liczne tartaki i fabryki żelaza. W ciągu dalszej jazdy widzimy, jak dolina to zwęża się, to rozszerza, a zarazem wije się tak samo, jak rzeka, która przez nią płynie, ostatecznie zaś tworzy rodzaj kotliny, zamkniętej na pozór zupełnie, i w tej kotlinie leży Thörl.

Miejscowość ta składa się tylko z dwóch fabryk, wyrabiających przedewszystkiem druciane liny i druty telegraficzne, dalej z domu gościnnego, tudzież z domu, w którym się mieści poczta i sklep korzenny, a nareszcie z domów dla urzędników fabrycznych i z dwóch will, w których mieszkają właściciele rzeczonych fabryk. Pomimo swych skromnych rozmiarów sprawia Thörl wrażenie tak imponujące, że zatrzymujemy się tam chętnie, aby mieć sposobność poznania bliżej tej miejscowości.

W pierwszym rzędzie imponuje już sama kotlina Thörlowska. Otaczają ją wysokie góry, pokryte od dołu aż do szczytów lasami. Z pośród tych lasów sterczą jednak, na kształt olbrzymich kolumn, białe skały wapienne i tworzą z zielonem tłem, od którego jaskrawo odbijają, kontrast wielce zajmujący. Jeszcze więcej, niż te skały, zwraca naszą uwagę na siebie malownicza ruina starożytnego zamku Schachenstein.

Ruina ta wznosi się śmiało na szczycie wysokiej i białej jak śnieg skały, tworzącej od strony Thörla rodzaj kolosalnej ściany prostopadłej. Skutkiem tego zdaje się ta ruina wisieć nad Thörlem. W niektórych punktach ma się rzecz tak istotnie, gdyż mur spoczywa na silnych konsolach kamiennych. Ruina ta jest zakonserwowana jeszcze doskonale, pomimo, że jest już od kilku wieków wystawioną na niepogodę i wszelkie zmiany powietrza. Tylko sklepienia licznych jej komnat są w wielu miejscach już poprzebijane, ale zdziałał to, jak mi mówiono, nie ząb czasu, lecz wandalizm ludzki. Na murach tej ruiny rosną, zapuszczając swe korzenia w rumowisko, liczne świerki i smukłe brzozy i przyczyniają się nie mało do uroku, jaki ją otacza.

Wieczorem przedstawia ta ruina wraz ze skałą, na której się wznosi, widok czarodziejski. Thörl bowiem jest oświetlony światłem elektrycznem i to w ten sposób, że ulica główna ma światło łukowe, ulice poboczne zaś, równie jak i domy, mają światło żarowe. Otóż wieczorem rzucają lampy łukowe silny refleks na rzeczoną ruinę i sprawiają rodzaj iluminacji niezmiernie efektownej. Równocześnie widzimy po przeciwnej stronie lamp łukowych niby sztuczne ognie. I to zjawisko, które dla obcych jest równą niespodzianką, jak rzeczone oświetlenie ruiny, nie jest dziełem umyślnem, lecz przypadkowem. Thörlowskie fabryki bowiem są czasami w ruchu dniem i nocą. Otóż snopy iskier, wydobywające się z wielkich kominów fabrycznych, grają, i mienią się w świetle elektrycznem w najrozmaitsze barwy i sprawiają efekt ogniów bengalskich.

Inny przedmiot, który zaraz przy wjeździe do Thörl naszą uwagę na siebie zwraca i takową żywo zajmuje, jest wspaniała willa w stylu renesansu włoskiego. Z poza attyki tej willi wznosi się zgrabna wieża czworoboczna i przyczynia się do imponującego widoku, jaki ta willa sprawia. Tak willa, jak i ruina przedstawiają się oku równocześnie i zlewają w jeden obraz przepyszny. Ramę zaś obrazu tego tworzy, jak już wspominałem, przyroda dziko-romantyczna. Skutkiem tego powstaje scenerja tak rzadkiej piękności, że prawie oczu od niej oderwać nie możemy.

Willa, o której mowa, jest własnością pana Pengg, właściciela jednej z fabryk tamecznych. Jestto człowiek młody, przystojny, majętny i bardzo miły w pożyciu towarzyskiem. Oprócz tego posiada pan Pengg jeszcze jedną zaletę, którą atoli tylko czytelniczkom moim wyjawię, i to pod ścisłym sekretem. Oto pan Pengg jest stanu wolnego, gdyż dotąd jeszcze żadna niewiasta nie zdołała podbić jego serca.

Okolica Thörl, będąc górzystą, nastręcza sposobność do licznych wycieczek. Stąd też spędzamy tam dnie bardzo przyjemnie. Ale równie przyjemnie schodziły mi tam wieczory. Urzędnicy bowiem fabryk tamecznych są po największej części muzykalni i tworzą z takimiż mieszkańcami sąsiedniego miasteczka Aflenz tak zwaną „Liedertafel", czyli stowarzyszenie miłośników śpiewu i muzyki. Otóż członkowie tego stowarzyszenia schadzają się wieczorami w sali gościnnego domu, w którym mieszkałem, i uprzyjemniają sobie czas śpiewem i muzyką. Zapoznałem się z tem wesołem towarzystwem zaraz pierwszego wieczora pobytu mego w Thörl, i dlatego schodziły mi tam wieczory jak najprzyjemniej. Całe to towarzystwo składa się z ludzi bardzo uprzejmych i posiadających tę zaletę, że wciągają chętnie obcych, bawiących w Töhrl, w swoje grono, aby im czas uprzyjemnić. Podnoszę tu ten fakt z całą wdzięcznością, jaką z tego powodu czuję.

Ze wszystkich osób, które tam poznałem i pokochałem, przypadł mi do serca najbardziej nauczyciel tameczny. To też czuję potrzebę poświęcić mu tutaj słów kilka. — Są, jak wiadomo, ludzie, których fizognomja odtrąca zaraz w pierwszej chwili, gdy się z nimi spotkamy, i do których czujemy wstręt niepokonany nawet wtedy, gdy ich poznamy bliżej. Natomiast są znowu takie osoby, które zaraz za pierwszem spotkaniem się z niemi podbijają serce nasze, i do których czujemy sympatję coraz większą, im bliżej ich poznajemy. Otóż do tej drugiej kategorji osób należy

*) W tym roku rozpoczynają już i w tamecznej okolicy budowę koleji żelaznej.

nauczyciel rzeczony. Ujmuje on, będąc przystojnym, nietylko powierzchownością swoją, ale zarazem swą uprzejmością, swym temperamentem i cennemi zaletami towarzyskiemi, gra bowiem dobrze na fortepjanie, spiewa przyjemnie, jest oraz wesołym i naturalnym w całem zachowaniu się swojem.

Muszę zapoznać czytelników jeszcze z jedną osobą, dla której zachowuję także wdzięczne wspomnienia i która odgrywa w Thörl rolę bardzo ważną. Osobą tą jest pani Sommerauer. Nie przypuszczam, ażeby czytelnicy moi nie znali nazwiska tego, bo któż nie zna dziś firmy Sommerauer. Wszak jest to firma gościnnego domu, który w Styrji wyższej posiada reputację głośną i jak najlepszą. Jeden podróżny zaleca drugiemu ten dom, a każdy, kto w nim bawił, jest z pobytu swego tamże tak zadowolony, że nie może się dość nachwalić tak samego domu, jak i gospodyni jego. Gospodyni ta bowiem jest typem jeszcze owych gospodyń przodkolejowych, które słynęły z tego, że nie uważały podróżnego jako istotę, którą należy wyzyskiwać ile tylko można, lecz uważały go, skoro się ulokował pod ich dachem, prawie jako członka rodziny. Otóż wzorem takiej starożytnej poczciwości jest pani Sommerauer. Stara się ona szczerze o to, ażeby goście jej czuli się jak w domu, i ażeby im nie zbywało na niczem.

Poczciwość tę poznałem zaraz przy pierwszem spotkaniu się z panią Sommerauer. Powziąwszy zamiar udania się z Kapfenbergu do Thörl i zabawienia tamże dni kilka, telegrafowałem do firmy Sommerauerów pytając, czy mogę mieć pokój dobry i położony zdrowo. Otrzymawszy odpowiedź potakującą, przybywam nazajutrz do Thörl, a wysiadłszy z dyliżansu, pospieszam do Sommerauerów. Wszedłszy do izby gościnnej, szukam oczami gospodarza domu. Nie znachodzę go jednak, ale spostrzegam za barjerą szynkowni kobietę dobrej tuszy, z sympatycznym wyrazem twarzy mogącą mieć lat trzydzieści kilka. Ubranie jej składało się z dreliszkowej sukienki z niebieskiemi gwiazdkami na tle białawem, dalej z fartuszka płóciennego i z białej trójkątnej chusteczki na szyi, którą zdobiło kilka sznurów okazałych korali. U boku wisiał spory pęk kluczów rozmaitej wielkości.

Poznawszy tak po tej charakterystycznej odznace, jak i po ubraniu, że to jest gospodyni domu, zbliżam się do niej z ukłonem i powiadam, że to ja zamówiłem wczoraj pokój. Na to wita mnie pani Sommerauer uprzejmie i zaprasza, abym z nią poszedł na piętro. Wyszedłszy tam wchodzimy do wielkiej sali, z której prowadziły na prawo i na lewo drzwi do pokojów przyległych. Pani Sommerauer otwiera drzwi do pokoju na lewo i wszedłszy doń powiada, że jest on przeznaczony dla mnie. Wchodzę doń zatem, rozglądam się i widzę, że nie jest to pokój zwykły, lecz elegancki salon o trzech oknach, z których dwa wychodzą na plac główny i na willę pana Pengg, trzecie zaś na ogródek z kwiatami. Za ogródkiem widzę pocztę, a za nią opisaną wyżej ruinę na skale. Z sufitu, a względnie sklepienia tego pokoju salonowego wisiał kandelaber o trzech ramionach do elektrycznego oświetlenia żarowego. Ostatecznie był ten pokój należycie umeblowany i mieścił w sobie łóżko, zasłane pościelą świeżą i białą.

Wszystko to zrobiło na mnie wrażenie bardzo przyjemne, bo poznałem, że będę mieszkać wyśmienicie. Tylko jedna rzecz zaciężyła mi nieco na umyśle. Oto obawiałem się, że będę za ten pokój płacił kilka guldenów dziennie. Być może, że poczciwa pani Sommerauer odgadła myśli moje, gdyż pokazawszy mi pokój i pouczywszy mnie, jak mam kurek obracać, chcąc światło żarowe zapalić lub zgasić, zakończyła w ten sposób: „Spodziewam się, że pan będzie zadowolony z pokoju tego; co zaś do ceny, to miesięcznie idzie on za 15 złr. dziennie zaś za 60 ct.“ Rozumie się, że przestałem bezwarunkowo na tę cenę tak niską.

Co do wycieczek, jakie z Thörl robić można, należy do najprzyjemniejszych owa do Buchbergu. Jest to rozległa dolina u stóp góry Hochschwab, wśród przyrody, owładającej wzniosłym majestatem swoim. Droga do Buchbergu prowadzi przez dolinę, którą użyznia rzeka, spadająca z odrostów Hochschwaba. Wzdłuż tej rzeki spostrzegamy tu i ówdzie to tartak, to fabrykę żelaza. Po jeździe pół godzinnej przybywamy do alpejskiej wioski St. Jlgen. W świecie turystowskim uzyskała wioska ta sławę dość smutną, a to z powodu, o którym później będzie mowa. Z St. Jlgen. jedziemy jeszcze ze trzy kwadranse przez dolinę bezludną i zasypaną miejscami grubą warstwą szutru rzecznego. Ostatecznie rozszerza się ta dolina znacznie i jesteśmy w Buchbergu. Dolina ta posiada tylko jeden dom gościnny i przynależne doń budynki gospodarskie. Więcej osad ludzkich nie widać tamże, ale zato mamy tam niebotyczne góry skaliste, tudzież lasy prawie dziewicze i rozkoszne łąki alpejskie.

Rzeczony dom gościnny posiada dobrą kuchnię i takąż piwnicę, jest przeto w ciepłej porze roku zawsze przepełniony letnikami, a jeszcze bardziej turystami, którzy stamtąd robią wycieczki w okolice sąsiednie, a przedewszystkiem na Hochschwaba, górę 2278 metrów wysoką. Na szczyt tej góry dostajemy się z Buchbergu, jeśli należymy do turystów wprawnych, w czterech godzinach, a więc o trzy godziny prędzej, niż ze strony przeciwnej; ale zato jest ten pochód nużący i o tyle niebezpieczny, że można łatwo kark skręcić. Ścieżyna bowiem, tworząca w niektórych miejscach ślad prawie niewidzialny, prowadzi przez tak zwane „Gehackte“, t. j. szlakiem, wykutym w stromej skale. Skutkiem tego jest w wielu miejscach wspinanie się na górę możliwem tylko za pomocą chwytania się żelaznych klamer, wbitych w skałę. Kto przeto jest skłonny do zawrotu głowy, albo nie umie panować nad swoimi nerwami, ten spada bardzo łatwo w przepaść.

Wydarza się to niejednemu turyście. W roku zeszłym n. p. pochowano na cmentarzu w St. Jlgen, i stąd wyż wspomniana smutna sława tej wioski.

dwóch takich turystów, t. j. pewnego młodzieńca, który usiłując wydostać się na Hochschwaba przez „Gehackte“, runął w przepaść i tam znalazł śmierć. Drugą ofiarą był, jak mi opowiadano, pewien pułkownik, który wydostawszy się szczęśliwie na szczyt Hochschwaba, dostał tamże udaru mózgowego i padł nieżywy na miejscu, zanim jeszcze zdołał nacieszyć się widokiem przecudnej panoramy, jaka się z tego szczytu otwiera.

Ponieważ pnąc się przez „Gehackte“ można utracić życie w sposób łatwy, prędki i wygodny, przeto uważam rzeczony szlak jako niezrównane pole popisu dla kandydatów na samobójców. Wątpię atoli, czy człowiek, który przybył do Buchbergu z zamiarem odebrania sobie życia, pozostanie przy tym zamiarze. Wszak tam uśmiecha się ponętnie i zachęca do życia wszystko, na co spojrzymy. I majestatyczna przyroda, i urocza cisza, która tutaj panuje, i orzeźwiające powietrze, którem oddechamy, i widok zachodzącego słońca, sypiącego niby miljony rubinów na ziemię, i następujący zmrok, który łagodnemi barwami pokrywa każdy przedmiot. Wszystko to wprawia umysł w nastrój niewymownie błogi i uspokaja owe burze, które w sercu ludzkiem nieraz tak gwałtownie się srożą, że życie staje się nieznośnem.

Z wycieczek, które z Buchbergu robiłem, wymienię tylko wycieczkę do Eisenerz. Tameczna góra Erzberg dostarcza głównie owych kruszców, z których wyrabiają znane z swej dobroci żelazo styryjskie. Do niedawna zwiedzanie tych słynnych kopalń było połączone z pewnymi trudami. Teraz, odkąd kolej żelazna ową okolicę przerzyna, można te kopalnie, leżące po części na powierzchni rzeczonej góry, oglądać wygodnie z okien wagonu.

(Dok. nast.)

Z ruchu literackiego.

Wielka encyklopedja powszechna ilustrowana. Wielkie to i cenne wydawnictwo, wydawane staraniem p. Sikorskiego, postępuje raźnie naprzód, choć zapewne nie tak raźnie, jakby tego pragnąć można w interesie całości jakoteż w interesie czytelników. Od czasu kiedyśmy pierwszym czterym tomom tego wydawnictwa poświęcili obszerniejsze omówienie, wyszły dalsze cztery tomy, obejmujące dokończenie lit. A. i początek lit. B. do słowa Boffatora. Cztery te tomy, obejmujące razem przeszło 2000 stronnic dwuszpaltowych, zawierają ogromne mnóstwo artykułów krótszych, czerpanych z innych wydawnictw tego rodzaju (encyklopedji francuskiej angielskiej, Naucznego Slownika Otty i rosyjskiego encyklopedycznego słownika Andrijewskiego.) Obok tych artykułów, więcej międzynarodowego charakteru, traktowanych nieraz zbyt może pobieżnie (zwracam uwagę na pobieżność notatek o literaturze średniowiecznej) znajduje się w tomach obecnych spora liczba prac oryginalnych, dotyczących spraw polskich lub też spraw innych, opracowanych przez specjalistów Polaków. Do prac pierwszej kategorji zaliczamy szereg artykułów pióra Piotra Chmielewskiego (wyszczególniamy artykuły o Asnyku, Bartusównej i Bełcikowskim), Kryńskiego o Baudouinie de Courtenay, dalej obszerniejsze prace o Arjańsłwie w Polsce, o Bazyljanach i Bazyljankach w Polsce (notujemy rażący błąd autora (VII, 201) jakoby w Galicji Bazyljanki dyzunitki miały dwa klasztory; Bazyljanki galicyjskie są unitkami). Do tej samej kategorji prac zaliczyć należy piękną i gruntowną pracę K. Górskiego, streszczającą dzieje artylerji polskiej i rosyjskiej (w Encyklopedji przymusowo pisze się „ruskiej“) a także cenne artykuły o bartnictwie i prawie bartnem w Polsce. Z prac o tematach obcych, lecz opracowanych przez specjalistów Polaków z mniejszym lub większym wkładem własnych spostrzeżeń wymieniamy: Leista artykuł o literaturze Armeńskiej, K. Górskiego o artylerji w jej rozwoju dziejowym jakoteż o jej organizacji we wszystkich krajach, Korzona o Bastylji, a wreszcie nadzwyczaj informujące i bogate, a umiejętnie opracowane artykuły Nałkowskiego o Australji, Azji i Belgji. W ogóle zauważyć należy, że redakcja Encyklopedji w tomach tu omawianych stara się o krótkość i zwięzłość, unika prac obszernych i zbyt szczegółowych, w jakie obfitowały tomy poprzednie, ogranicza się na rejestrowaniu faktów i dat, rzadko tylko pozwalając autorom artykułów na wydawanie swoich sądów o rzeczach referowanych — widocznie pragnie jak najrychlej posuwać wydawnictwo naprzód. Z braków encyklopedji podnieść musimy znaczne w części dobrowolne, a w części przymusowe zaniedbanie działu słowiańskiego. Ruś galicyjska zaledwie dotknięta: pod lit. B. spotykamy tylko króciutkie notatki o ks. Bużańskim (mylnie przemienionym na Bażeńskiego) i Beleju. Z artykułem o braciach Barwińskich stała się dość smutna i zabawna zarazem historja, którą tu dla zbudowania potomności podajemy. Już w trakcie drukowania t. VI., gdzie szła lit. Ba, piszący te słowa otrzymał od redakcji Encykl. zaproszenie, by napisał artykuł o braciach Barwińskich. Artykuł był napisany i wysłany, przyszedł jednak o tyle zapóźno, że redakcja sama ułożyła krótką notatkę na podstawie Slownika Otty i po jej złożeniu oddała do cenzury. Cenzor notatkę ową puścił. Lecz gdy nadszedł mój artykuł, redakcja uznała za rzecz stosowną (ponieważ odnośny arkusz nie był jeszcze wydrukowany) cofnąć ową notatkę pierwotną i złożyć pracę świeżo otrzymaną. Przeczytawszy ją w odbitce cenzor nie tylko przekreślił ją całą, lecz w dodatku nie pozwolił już na umieszczenie nawet owej krótkiej notatki, którą pierwotnie był przepuścił. Opowiadam tutaj tę historję dla wiadomości tych czytelników galicyjskich, którzy nie znając dokładnie stosunków prawnych, z jakiemi encyklopedja ma do walczenia, mogliby mieć do niej pewien żal za takie zaniedbanie spraw nierównie bliżej obchodzących ogół polski, niż muzyka assyryjska, prawodawstwo kałmuckie itp., obszernie traktowane w encyklopedji. *Iw. Franko.*